



## Mirosław Bzdyra

## część II z II

Sygnatura notacji: **N1241**

Data urodzenia: **14.06.1937 r.**

Data nagrania: **28.03.2018 r., 09.12.2019 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 58 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

<POCZĄTEK NAGRANIA - 00:00:00>

Jest dzisiaj dzień 28 marca 2018 roku. Spotkaliśmy się z panem Mirosławem Bzdyrą, znajdujemy się w Warszawie, w centrali IPN-u, na ulicy Wołoskiej 7. Wywiad prowadzi Tomasz Sikorski, kamerę obsługuje Karol Litwin. Pan będzie uprzejmy opowiedzieć nam o sobie, jak się pan nazywa, gdzie się pan urodził, parę słów o rodzinie, historia wojenna i te wątki, o których już rozmawialiśmy wcześniej.

Rozumiem. Nazywam się Mirosław Bzdyra, mam w tej chwili osiemdziesiąt jeden lat i kilkanaście chorób, powodujących pierwszą grupę inwalidzką. Moim ojcem był strażak. To znaczy, ojciec był kierowcą straży. A matka nie pracowała, była cały czas na utrzymaniu ojca. Przed 1939 rokiem, rodzice wynajmowali mieszkanie na ulicy Polnej. Adresu nie pamiętam, ale charakterystycznym było to, że na podwórku była kapliczka świętego... Czy Matki Boskiej, czy innego, to w tej chwili nie wiem, a jednocześnie w suterenie była bożnica żydowska. No i chłopcy, ja wtedy jako ten trzyletni chłopak, bawiąc się na podwórku, byłem nagabywany przez starszych chłopców, którzy dostarczali mi kota i kazali do bożnicy wrzucić, a to powodowało tam jakieś niezadowolenie modlących się Żydów czy przebywających Żydów. No, oczywiście poskarżyli się ojcu, oczywiście przedstawiając, że to źli chłopcy mnie namawiają. Ojciec zareagował w ten sposób, że poprosił matkę, żeby mnie lepiej pilnowała. Mi wytłumaczył, żeby tak nie robił, z chłopcami też porozmawiał. Na tym się skończyło. Ale po tym wydarzeniu dowództwo szkoły pożarnictwa uznało, że ojciec jako mechanik, jako kierowca powinien być do dyspozycji straży przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, w związku z tym zaproponowali nam mieszkanie w budynku straży, szkoły straży pożarnej. Tam, gdzie mieszkaliśmy. Oczywiście mieliśmy pokój z kuchnią. Po wkroczeniu Niemców do Warszawy, Niemcy również zaczęli urządzać w szkole pożarnictwa. Nie wiem, co do ich dyspozycji było i o czym mieli decydować, ale jakiś nadzór nad strażą

mieli. Po tym fakcie zażądali, żeby tych wszystkich pracowników wysiedlić z budynku tej szkoły pożarnictwa, gdzie kilka godzin zamieszkiwało, a pozostał jedynie palacz sprawujący jeszcze jakieś inne czynności. Nazywał się Majda. I tam do samego końca Powstania zamieszkiwał, i tuż po zakończeniu Powstania, wychodząc z budynku straży, został zabity. Nie wiem, czy jakiś zabłąkany pocisk, w każdym razie zaraz po Powstaniu zginął. Ale dlaczego go wspominać? Tam w kotłowniach przechowywał radio, przechowywał aparaturę nadawczą. Należał do AK. Była tam grupa akowców, do której należał, nie wiem, wtedy chyba był w stopniu majora pan Pogorzelski i przed śmiercią miał stopień pułkownika, i nadal pracował w Wyższej Szkole Oficerskiej Pożarnictwa. Był tam kapitan Skóra, który też był... Reischer, nie znam stopnia, imienia. Był pan Ogórek, którzy należał do tego, no i należał też mój ojciec, Wojciech Bzdyra. Niemcy w czasie okupacji żądali, aby strażacy jeździli gasić pożary na teren getta, jeśli tam się paliło. Przeważnie te pożary dotyczyły ochrony albo ich jakichś tam magazynów, albo jakichś biur konkretnych. W czasie wjazdu na teren getta, wozy nie były zatrzymywane, nie były sprawdzane, natomiast w czasie wyjazdu z getta była szczegółowa kontrola, dosłownie w każdym zakamarku samochodu. To grupa AK postanowiła wykorzystywać i na teren getta były przewożone dokumenty, były przewożone racje żywności, a w czasie już powstania w getcie, była dostarczana w ten sposób broń, taka, jaką mogli tam dostać, bo sami nie mieli zbyt wiele. I ojciec dość często... A, i jeszcze jedna ciekawa rzecz, że na terenie obecnej ambasady chińskiej, znajdował się magazyn, parę pięter w dół. Z czym on był, tego nie wiem, ale Żydzi niejednokrotnie kusili strażaków, że: „Będziecie mogli tam sobie wziąć, co będziecie chcieli, tylko nam pomóżcie”. No, oczywiście nikt z tego nie mógł skorzystać i nie skorzystał. Znam takie fakty, że zaraz po przekroczeniu bramy getta, samochody strażackie włączały dzwony, po to, aby, jadąc przez ulice getta, nie być narażonym na rzucanie w ich kierunku tak zwanych obecnie mołotowów czy też granatów. I jechali do pożaru. Gasili tak, jak na wstępie powiedziałem, magazyny żywnościowe. Co w tych magazynach było? Przeważnie jakieś ziarna typu soja czy jakieś kasze. No i oczywiście inne rzeczy niezbędne Niemcom, którzy to tam trzymali. Strażacy, jak tylko się nadarzyła okazja, wiedząc o tym, że nikt ich tu w czasie jazdy powrotnej nie będzie kontrolował, przemycali jakiś worek ziarna jakiegoś i w czasie drogi powrotnej, już w umówionym miejscu, w czasie jazdy, wyrzucali to tak, żeby Żydzi mogli to przejść i mieć jako pożywienie. Jednym z takich ciekawszych zdarzeń, które ojciec mi opowiadał, to było to, że pojechali właśnie bronić palącego się magazynu, ale nadzorował to cały czas jakiś esesman. I strażacy, zgodnie z ich nauką, skierowali strumień wody na palący się magazyn, a tuż obok tego magazynu przylegający budynek zaczął się również palić i w pewnym momencie na balkon wyskoczył Żyd z płonącej odzieżą. Strażak, który miał tę prądownicę wody w ręku, skierował na moment z litości strumień wody na płonącego Żyda. Esesman, jak to zauważył, wy dobył z kabury broń i strażaka zastrzelił. No, oczywiście wszyscy zdernerwowani, no bo potwierdziło się to, co Niemcy robią. Po tym fakcie, w niedługim czasie znowu pojechali gasić jakiś magazyn, ale studzienki te dające wodę były niewydolne, wobec tego strażak z hydrantem udał się w kierunku najbliższego domu. Tam przed bramą była studzienka. Zaczął wkręcać hydrant i wtedy wyskoczyło z bramy kilku Żydów, wciągnęli go do bramy i, jak się okazało, zabili. Zdjęli z niego ubranie, pozbawili go dokumentów. To jeśli chodzi o tę stronę getta, to tyle w tej chwili sobie przypominam. Ale mam takie fakty, jak mówiłem, że Niemcy wysiedlali Polaków z budynku straży ogniowej, to przed założeniem getta zostało wydzielone kilkanaście budynków na ulicy Muranowskiej i Sierakowskiej, przy Dworcu Gdańskim i były tam te pustostany. Do tych pustostanów kierowali właśnie tych wysiedlonych Polaków, żeby tam mieszkania mieli. Ewentualnie, jeśli Polacy zamieszkiwali na Śródmieściu w takich eleganckich mieszkaniach, które zajmowali Niemcy, to również ich wysiedlali na tę Muranowską czy Sierakowską. W budynku, w którym otrzymaliśmy mieszkanie na pierwszym piętrze, była piekarnia i ta piekarnia

została przydzielona Ukraincowi o nazwisku Kijko, a nazwisko pamiętam z tego względu, że ilekroć wychodziłem na podwórko, to mnie wołał do siebie, bo on jednocześnie trochę produkował ciastek, żebym wziął paluszka, ojciec mu zapłaci. Paluszki to takie ciastka, jak sama nazwa wskazuje, z biskoptu, a twierdził, że mam dobrą rękę i mu wtedy wszystko wychodzi. On piekł chleby dla wojska niemieckiego. No i znowu starsi chłopcy w czasie, gdy Niemcy brali ten chleb z piekarni, nie mieli możliwości podejścia do samochodu, bo wartownik na to nie pozwolił. Nie mogli też żadni cywile wejść do tego samochodu ładującego pieczywo, ale tolerowali nas w tym czasie, takich sześć-, siedmiolatek. No i, żeby trochę wspomnieć tak z humorem, to jeden z tych starszych chłopców pracował w Wytwórni Papierów Wartościowych. Nie wiem, co on tam robił, w każdym bądź razie z wytwórni wnosił oryginalne dokumenty typu Ausweis, wydrukowane i inne. Na tych niektórych drukach Ausweisów wstawił nasze nazwiska, tak samo moje i nadawał nam stopnie. I ja jako ten siedmiolatek miałem stopień plutonowego. To imponowało mi, no bo my też się lubiliśmy bawić wtedy w wojsko i mimo że był wojna i tak dalej, ale to było popularne. Natomiast starsi chłopcy od niego dostawali również te dokumenty i te dokumenty wykorzystywali do innych celów, o których nie byliśmy wtajemniczeni. My jako ci, którzy mogliśmy dochodzić do piekarni w czasie załadunku, wcześniej wiedząc, o której przyjeżdża samochód po pieczywo, byliśmy kierowani przed tych starszych chłopców na najbliższą klatkę schodową zbliżoną do piekarni i w czasie załadunku to burta samochodu przylegała do wejścia na klatkę i oczywiście nikt nie widział, co tam się dzieje, no bo samochód zasłaniał, wartownik też był z drugiej strony. I wtedy, uchylając plandekę, wydobywaliśmy po kilka bochenków chleba. Oczywiście za dużo nie można było tego zrobić, bo byłaby dziura. Wiadomo bo było, że tam ktoś coś ukradł, a tak to liczyli wszyscy, że w czasie transportu ten chleb się porusza i jakoś tam się poukłada. No i to tak trwało przez ładne kilkanaście dni czy kilkanaście tygodni. Wiedzieliśmy już, każde dziecko w tym czasie było rozwinięte nad podziw, w czasie ten okupacji i wiedzieliśmy, że starsi chłopcy ten chleb przeznaczają dla Żydów i często udają się na Pokorną, bo tam przebiegał parkan getta i w umówionym miejscu przerzucają chleby dla potrzebujących Żydów. W pobliżu właśnie tej Pokornej było targowisko nazywane „Wołówką”. I na tym targowisku mój ojciec tam teraz trochę handlem dorabiał sobie i przebywał. I pewnego dnia, gdy tam byłem czy z matką, czy z ojcem, zobaczyłem, że Ukrainiec w uniformie niemieckim wyrwał kobiecie torebkę i zaczął uciekać. W tym czasie nadszedł esesman i wiele się nie zastanawiając wy dobył broń z kabury i strzelił, zabił. Kobiecie kazał wziąć tę torebkę i na tym się skończyło. Koło tej „Wołówki” był magazyn niemiecki, do którego z Dworca Gdańskiego dobiegały tory i samowarek, taki niewielki parowozik wciągał tam wagony z konserwami do tego magazynu i z mundurami, esesmanów przeważnie. Dlaczego o tym mówię? W czasie Powstania Warszawskiego, jak Niemcy z tamtych terenów musieli uciec, to Polacy udali się do tego magazynu i każdy ile mógł, zabrał opakowań tych konserw, a tam były konserwy typu pasztet, ozorki w konserwach i były mundury. Chłopcy w wieku czternastu lat pozakładali takie mundury na siebie, część Powstańców. Po upadku Powstania chłopcy, którzy nie należeli do grupy powstańczej, po prostu już mieli po dwanaście, czternaście lat, ale mieli na sobie... To już było ciepło, ale mieli spodnie, bryczesy te esesmańskie. I wtedy, kogo Niemcy w czasie już upadku Powstania zobaczyli w takich spodniach, to od razu go brali bez względu na wiek na rozstrzelanie. I tak zginął mój ciociętny brat w ten sposób, trzynastoletni Kazimierz Pawłowicz, który mieszkał w sąsiednim budynku z rodzicami. On miał takie spodnie i to spowodowało, że razem z ojcem go wzięli i później go rozstrzelali. Natomiast, po Powstaniu mój ojciec został zatrzymany i razem z innymi mężczyznami, z częścią mężczyzn, bo nie wszystkich, pogońiony na Stawki i tam został wprowadzony do jakiejś izby na parterze, w której było dwoje czy troje drzwi, no i kazali się ojcu rozbierać do naga. Ojciec to uczynił, ale jeszcze mu powiedzieli, żeby tu na stół położył swoje dokumenty. No, ojciec miał ten Ausweis mówiący: Ar-

beit - Polizei, a to było, że straż ogniowa miała coś takiego. I wtedy ojciec wziął ten Ausweis i położył z innymi dokumentami. Esesman spojrział na to i coś powiedział do tego tłumacza. Ten powiedział: "Zabierz te dokumenty i ubieraj się". Ojciec się ubrał i kazał, wpierw jak mu wskazywał drzwi, tam załóżmy lewe, to teraz kazał mu iść w te drzwi prawe. Ojciec cały czas słyszał jakieś strzały i kiedy już wychodził z tych drzwi, to ten tłumacz mu powiedział cichutko: „Jesteś szczęśliwy”. No i po tym fakcie, jak ojciec tam wszedł do tego pomieszczenia, zobaczył, że tam byli Ukraińcy, byli granatowi policjanci i ojca z nimi kierowano do pracy. Musiał początkowo załadowywać na wagony różne maszyny, a później dali go do chłodni na Woli i tam ładował właśnie zamrożone różne mięsa, czy jeszcze do chłodni, czy z chłodni na samochody i to było jakiś czas. Po pewnym czasie stwierdzono, że ojciec ma być wywieziony z Warszawy i w czasie transportu do obozu ojcu udało się wyskoczyć z wagonu w okolicach Skierniewic i odnaleźć nas, to znaczy matkę i mnie. A dlaczego mówię odnaleźć? Bo po powstaniu matki z małymi dziećmi były wywożone właśnie na wsie w okolicy... Koło Skierniewic i my zostaliśmy z matką wywiezieni na taką wioskę o nazwie Krosnowa koło Lipców Reymontowskich. No, tam trzech biednych rolników miało utrzymywać mnie i matkę, i zapewnić nam pomieszczenie i wyżywienie. Sami też ciężko przędli. Ojciec nas tam odnalazł i był stosunkowo krótko, bo zaraz po tym fakcie wkroczyli już na ten teren Rosjanie i znowu zażądano, żeby wszyscy, którzy byli przeszkoleni, którzy byli żołnierzami, żeby się zgłosili do władz wojskowych. Ojciec nauczony posłuszeństwa zgłosił się i to spowodowało, że natychmiast go wcielili do wojska. Został dowódcą kompanii sanitarnej i w ten sposób dotarł do Berlina. Oczywiście tam różne takie ciekawostki miał, bo wydawał niektórym przepustki, a jak generał rosyjski miał przyjechać, to przez parkan z drugiej jednostki przechodzili polscy żołnierze, żeby stan się zgadzał, później odwrotnie, żeby to nie zostało wykryte, że kilku brakuje. No i tak po wojnie ojciec już dostał przydział mieszkania tu, gdzie obecnie ja mieszkam, na Grochowie i to było mieszkania trzypokojowe. Dwa pokoje to dostał bratanek, jeden pokój dostał potomek Reymonta, tego pisarza, a drugie - jego przyjaciółka. A my dostaliśmy pokój z kuchnią. I tak przez ładne kilka lat się męczyliśmy wspólnie, a potem on, bratanek Reymonta pracował ze swoją przyjaciółką w jakimś ministerstwie. Ministerstwo dało mu mieszkanie, no, a my dostaliśmy przydział na pozostałe te dwa pokoiki, bo to nie-duże. Wracając jeszcze do tych strażaków, to pan Kwaśniewski po roku 1945, jako ten ocalały strażak, dotarł na wybrzeże i został tam komendantem straży portowej, ale nie wiem, czy Gdańsk, czy Gdynia. I tam egzystował. Pan Pogorzelski do emerytury, do śmierci, wiem, że był w Wyższej Szkole Pożarnictwa na Potockiej. Natomiast tak jak wcześniej powiedziałem, pan Majda zginął, o pozostałych - panu Ogórkowi czy Reisacherze, czy Skórze, to już nie wiem o ich dalszych losach. No więc... Jeszcze wracając do miejsca zamieszkania na Sierakowskiej. Na Sierakowskiej, tak, jak mówiłem, cały czas były pustostany, do których wprowadzali się lokatorzy. Znowu widziałem, że na jednej z klatek schodowych są Żydzi ukrywani, ale to była taka praca konspiracyjna i dozorczy, i administratorów. Oni pomagali tym Żydom, ale pewnego dnia te wszystkie domy, o których ja mówiłem, zostały otoczone przez wojska niemieckie i ukraińskie, i powiedziano nam, że kto zostanie w mieszkaniu, zostanie zabity. Nawet jeśli jest obłożnie chory, to trzeba go wynieść na podwórko. No, oczywiście ludzie wypełnili to polecenie. Niemcy kazali zostawić drzwi otwarte do mieszkań, żeby nie były na klucz zamknięte i po tym fakcie wszystkich pogonili do zajezdni tramwajowej, która się mieściła właśnie na ulicy Sierakowskiej, po końcu ulicy, już bliżej Dworca Gdańskiego. Tam przebywaliśmy kilkanaście godzin. potem oznajmiono nam, że możemy wracać do swoich mieszkań. I oczywiście wróciliśmy. Widok, jaki się ukazał naszym oczom, to było to, że przed jedną klatką schodową leżało około pięciu trupów żydowskich. To byli mężczyźni. No i każdy się udał do mieszkania. Oni tak leżeli do dnia następnego. W dniu następnym przyjechała ekipa taka porządkowa, tych Żydów załadowali na samochód, a jednocześnie udali się na dach i na linach

przed oknami mieszkańców spuszczały następne trupy, które były na dachu. Nigdy się nie dowiedziałem, czy oni, to właśnie lokatorzy takiego mieszkania, które było udostępnione przez administratora i dozorcę, czy to byli zupełnie inni Żydzi, którzy po prostu uciekli z getta i w drodze jakiegś tam zostali zauważeni i zastrzeleni. Jak mówiłem na wstępie, Ukraińiec Kijko miał zapasy mąki na pieczenie chleba i w czasie Powstania Warszawskiego jakoś woda nie została zamknięta do naszej posesji. Miał opał i miał tę mąkę, zaczął wypiekać chleb i zaopatrywać w chleb dawnych sąsiadów, to znaczy mieszkańców tego domu, a oprócz tego Powstańców i osoby, które trafił do piwnic domu, w którym przebywaliśmy. Tak że taka pozytywna postać tego Ukraińca. Drugą taką postacią dość ciekawą dla mnie, to była sąsiadka Ukrainka, która była żoną ukraińskiego urzędnika, którzy pomieszkiwali w mieszkaniu vis-a-vis naszego. Na miesiąc przed Powstaniem Warszawskim zaczęła moją matkę i zadała pytanie typu: „Sąsiadko, czy zamierzasz się wynieść z Warszawy w najbliższych dniach?”. A matka się roześmiała, mówi: „Dlaczego?”. „A, bo tu w ciągu miesiąca będzie bardzo niebezpiecznie”. I po tym następnego dnia Ukraińcy się wyprowadzili. Matka jeszcze o tym powiedziała ojcu. Ojciec mówi: „Wszystko jest możliwe, Niemcy są nieprzewidywalni, no ale nic na to nie poradzimy”. No i oczywiście wybuchło Powstanie po miesiącu i teraz z perspektywy czasu patrząc na to, jestem przekonany, że Niemcy mieli doskonałą wiadomość, kiedy Powstanie wybuchnie. To takie z tego okresu moje wspomnienia, ale już po wojnie trochę działałem społecznie. Byłem... To znaczy, jestem Kawalerem Orderu Uśmiechu i w związku z tym prowadziłem taką Komisję do Spraw Dzieci i Młodzieży, żeby im tam pomagać. I członkiem tej Komisji była pani Irena Turczyn. Jak sama mi nieraz mówiła, należała do Batalionu „Zośka”. No, na to, co tam robiła i tak dalej, to jakoś nie było czasu. Zawsze byliśmy zajęci na bieżąco, żeby od zakładów pracy dostać jakieś przedmioty typu buty, typu urania, żeby tym biednym dzieciom dać, ale znowu nie chcieliśmy, żeby to wyglądało jak opieka społeczna, tylko organizowaliśmy gry i zabawy. W czasie tych gier i zabaw robiliśmy wszystko, żeby dzieci, te wytypowane przez szkoły, żeby im pomóc, to żeby wygrały dany konkurs i oczywiście jako nagrodę dostawali, w zależności od tego, już przyszykowane dla nich czy ubranka, czy buty. I tak to wyglądało. I pani Irena przychodziła do mnie do mieszkania nieraz, żeby tam uzgodnić coś czy jakąś wycieczkę dla dzieci, a dyrektor Wedla nawet nam pomagał, dając autokar i umożliwiając wyjazd w Bieszczady dla dzieci. I gdy tak rozmawialiśmy, to tamtego dnia przychodzi bardzo zdenerwowana i mówi: „No wiesz? Nawet nie wyobrażasz sobie, jak się dzisiaj zdenerwowałam”. Ja mówię: „No dobrze, pani Ireno, ale co się stało?”. „Wyobraź sobie, że my raz na rok jako ci uczestnicy działań w Batalionie «Zośka» spotykamy się na herbatce. Co roku jest nas mniej, no i dzisiaj byłam na tym kolejnym spotkaniu. W czasie, gdy sobie opowiadaliśmy swoje tam aktualne problemy, to wyszedł ktoś na scenę i powiada: «No, chciałem państwu przekazać bardzo dobrą wiadomość», no, to wszyscy ucichli, patrzą, co się będzie działo dalej, no i on wtedy mówi: «Chciałem wam powiedzieć, że wasz dowódca nie zginął i za chwilę będzie wśród was». No i spojrzałam, ale przecież ja wiedziałam, że nasz dowódca zginął, wszyscy tam samo wiedzieli. Co się stało, czy nie mieliśmy jakiegś mylnej wiadomości? Patrzymy, dla wszystkich wychodzi nieznana osoba, mężczyzna na scenę, jako ten nasz dowódca. Wszyscy zdziwieni, spoglądają na siebie wzajemnie, ale mnie aż podrzuciło, bo rozpoznałam znanego mi Żyda, który całą okupację ukrywał się na ulicy Serockiej. I sąsiedzi wiedzieli, że on się ukrywa, pomagali mu przeżyć”. Nawet wymieniła imię tego Żyda, ale nie pamiętam dokładnie, żydowskie jakieś imię. No i mówi: „Doczekałam, aż się skończy ta oficjalna ceremonia i potem podchodzę do niego, wymieniam jego imię i mówię: «Czyś ty zbaraniał? To co, mam ujawnić, że wszyscy cię utrzymywaliśmy na Serockiej, a ty w tej chwili zaczynasz udawać naszego dowódcę, który nie żyje?»”. Ona mi to opowiedziała, po jakimś czasie dowiedziałem się, że on więcej się nie pokazał i więcej nie był im przedstawiany. No to takie moje wspomnienia z tego okresu. Oczywiście cały czas ta komórka AK działała i nawet

do tego stopnia, że brat mojego ojca, Bzdyra Antoni, pracował w fabryce Lilpopa. Ale też był kierowcą z zawodu. I wiem, że gdzieś było takie zagrożenie, że w każdej chwili mogą się zjawić tam Niemcy, bo tam się ukrywa Żyd, to wtedy takiego Żyda samochodem właśnie tej fabryki przewoził w drugie miejsce, wskazane prze AK. No, to tyle.

Piękne dzięki. Natomiast mam prośbę. Ten Order Uśmiechu to jest wspaniałe oznaczenie, natomiast gdyby pan był uprzejmy jeszcze powiedzieć kilka słów o swojej aktywności. Jakie szkoły pan skończył i o aktywności zawodowej, co pan w życiu robił?

To znaczy, ja skończyłem ogólniak i z kolei zaczynałem różnie. Zaczynałem jako tokarz w fabryce łożysk na Żoliborzu. Później przyniosłem się do Instytutu Chemii na stanowisko referenta zaopatrzenia i dzięki temu wiedziałem, że dyrektorem w Instytucie jest pani Meir. No, kojarzyłem ją z późniejszą premier, ale czy słusznie, czy niesłusznie, tego nie wiem. W każdym bądź razie po tym fakcie zacząłem pracować jeszcze jako instruktor teatralny, a wzięło się to stąd, tak, jak w tej chwili nieraz się śmieję, że mierny, jeśli chodzi, zawodowo uruchamia szkołę aktorską i tam werbuje do siebie różnych młodych i uczy ich rzemiosła artystycznego. No, ja oczywiście będąc w szkole, należałem do kółka teatralnego prowadzonego przez aktora i on nas uczył pewnych rzeczy. I tak z ciekawości, chcąc zarobić i zmienić sobie znowu pracę, bo jako młody człowiek nie byłem zdecydowany, co tak naprawdę będę robił, próbowałem prowadzić takie zajęcia teatralne. Jakieś osiągnięcia miałem, że występy prowadzonych zespołów przeze mnie były gdzieś tam pokazywane. Potem zacząłem pracować jako dyspozytor. Po powrocie z wojska, ożeniłem się i z kolei postanowiłem znowu spróbować zawodu w milicji. To znaczy, byłem przekonany, że to jest taka praca, tak jak i teraz młodzi garną się do policji, to ja byłem przekonany, że to mi będzie jakoś sprawiało przyjemność, wykrywanie przestępców i tak dalej. No, ale w milicji zostałem skierowany do szkoły podoficerskiej i po powrocie dostałem dzielnicowym na Saskiej Kępie. Ale moje zainteresowanie właśnie cały czas były młodzieżą. W związku z tym zacząłem się kontaktować ze szkołami na Saskiej Kępie. Tam działacze TPD jakoś dostrzegli, że mnie młodzież interesuje. Zaczęto mnie honorować tymi odznakami, Przyjaciół Dziecka i tak dalej, no, ale moi przełożeni doszli do wniosku, że ponieważ mam zacięcie do pracy z młodzieżą, to trzeba mnie skierować do milicyjnej Izby Dziecka na wychowawcę. No i tam zostałem skierowany. Pracowałem w Izbie Dziecka do momentu, kiedy zaczęły mi się kłopoty zdrowotne. I tak dotrzymałem do lat osiemdziesiątych, i wtedy znowu koledzy przyszli do mnie, że zakładają związek zawodowy i widzą mnie w tym związku zawodowym, żebym zaczął z nimi działać, żeby zakładać związek zawodowy. No, po różnych zastanowieniach zdecydowałem się i zacząłem w tym Związku, znaczy, komitet nauczycielski i zacząłem tam działać. Koledzy wyznaczyli mi funkcję wiceprzewodniczącego Związku do spraw Emerytów, kontaktów ze Związkiem Prokuratorów, Związkiem Straży Pożarnej, ze Związkiem Kolejarzy i ze Związkiem Tramwajarzy. I ja się z tymi związkami kontaktowałem, i tak zacząłem działać tam. Oczywiście potem ten Związek, nie chciano zarejestrować Związku, zaczęły się takie dokuczliwe działania Służby Bezpieczeństwa, na przykład, jak z całej Polski przyjeżdżali działacze tego Związku. Przybywali do mojego mieszkania na Stoczkowską swoimi samochodami i stawiali je w okolicy mojej ulicy, mojego domu i na sąsiednich, to bezpieka przekłuwiała im opony, tak, żeby mieli później problemy albo jak chcieli się zorientować, kto danym samochodem przyjechał, to włączali alarm celowo i oczekiwali, aż właściciel podejdzie, żeby wyłączyć, żeby sprawdzić i żeby go sobie sfotografować. Z tego tytułu miałem tam później jakieś nieprzyjemności. Do tej pory to ja też wynagrodzenie dostaję najniższe, jakie można, ale to nie w tym rzecz. Wracając jednak do tych moich działań, to również działałem tam w komitecie tym osiedlowym. I dość ciekawa rzecz,

bo opiekunką społeczną była Żydówka stara, która całą okupację się przechowała dzięki sąsiadom i potem ona działała społecznie jako opiekunka społeczna i tym sąsiadom pomagała w uzyskaniu pomocy z wydziału opieki społecznej, bo opisywała ich problemy i tak dalej, druga też. No i jeszcze miałem takie ciągoty, żeby trochę pisać, w związku z tym zacząłem zamieszczać małe artykuły w tygodnikach jak „Kobieta i życie”, „Przyjaciel dziecka”, „Przyjaciółka”, „Ekspres”, „Życie Warszawy”, małe felietoniki opisujące zdarzenia i problemy rodzin, które mają dzieci. I w ten sposób dorabiałem sobie trochę. To tak z grubsza... No, oczywiście nie przypisuję sobie żadnych specjalnych zasług, ale jak koledzy, którzy zakładali ze mną Związek, zrobili strajk w Hali Mirowskiej [chodzi o Halę Gwardii], to ja w tym czasie napisałem jako wiceprzewodniczący, bo ja tam nie byłem w tym czasie, zawiozłem do Sejmu do profesora Szczepanika, że trwa taki strajk, złożyłem to pismo i podpisałem jako wiceprzewodniczący. Później bezpieka mnie wzywała na tłumaczenie z tego powodu, no i, jak koledzy właśnie jeszcze tam przebywali w Hali Mirowskiej [chodzi o Halę Gwardii], to właśnie, czy tramwajarze, czy kolejarze wsadzili mnie w autokar i zawieźli do Róży Luksemburg, tam było moje spotkanie z załogą. Wygłosiłem parę zdań na temat, co się dzieje. Kolejarze natomiast o naszym Związku zamieszczali plakaty na pociągach dalekobieżnych. Dosłownie były oblepione pociągi plakatami, że Związek Milicyjny. Z tych wspomnień to jest ciekawe to, że prokuratorzy, którzy mieli swój związek, zazwyczaj byli mili i przestrzegający prawa. Nieraz, jak mi opowiadali o swojej pracy, że mają dość i tak dalej, to aż byłem zdziwiony. Jeden z prokuratorów, przypominam sobie, będąc prokuratorem wojewódzkim, bo wtedy tak się nazywało, postanowił zrezygnować z pracy w prokuraturze i iść do Najwyższej Izby Kontroli, że tam będzie też jakąś pracę wykonywał kontrolną, ale nie będzie wbrew swoim przekonaniom. Ale wcześniej, to był właśnie w AK. No i w ramach tego, że coś napisałem, moim sąsiadem na sąsiedniej ulicy był Jan Dobraczyński, którego znałem, no i znowu tak, wiedząc, że ja piszę, to nieraz widział mnie na ulicy: „Przyjdź do mnie”. I udawałem się nieraz do niego, nawet po taką poradę trochę twórczą. I nieraz w czasie pobytu u niego byłem świadkiem, że przyjeżdżali do niego kardynałowie z innych państw, czy z Włoch, czy z Francji. Oczywiście byłem z nimi zapoznawany i w ten sposób, że przebywałem w tym środowisku... A, jeszcze jedna rzecz. Zakonnice, które udzielały pomocy chorym i opiekowały się nimi, nie miały prawa do meldunku w Warszawie, a ja, tak się dziwnie składa, miałem kolegów i znajomych od dziecka, którzy później byli w tej komunistycznej wierchuszce, bo Marian Krzak, który dwa domy dalej mieszkał, był później ministrem finansów. Namiotkiewicz Walery, osobisty sekretarz Gomułki, a matka... <dźwięk telefonu> pod setką na Grochowskiej miała aptekę. I jakby... Skóra, który był przewodniczącym Komisji Kontroli Partyjnej, oni byli starsi ode mnie o kilka lat, ale znali mnie od dziecka, bo chodziliśmy... I znowu ciekawostka, w 1945, 1946, 1947 roku w takt werbli jako harcerze szli na Szembeka do kościoła, a później zostali tymi dygnitarzami na tratwie, jak ja mówię. Ale jeśli się do któregoś zwróciłem, a zwracałem się tylko i wyłącznie w takich sprawach naprawdę, jeśli chodzi o krzywdę kogoś, czy nawet o zameldowanie tej zakonnicy na czas określony, bo na stałe to by nikt tego nie zrobił, to ma pomagali, a ja pomagałem w ten sposób innym. Dość ciekawe, że koledzy ze szkoły pokończyli również studia medyczne, byli lekarzami. Jeśli któraś z tych opiekunek zwróciła się do mnie, że jest chłopak z domu dziecka, który skończył osiemnaście lat i w końcu został bez mieszkania, bez pracy, to znowu używałem tych wszystkich swoich zabiegów, żeby spowodować dla niego pracę i jakiś przydział mieszkania. To mi się udawało. Ale było i tak, że chłopak, który wyszedł z domu dziecka, jego żona tak samo, mieli dziecko maleńkie. Dostał ode mnie pracę, to znaczy dzięki mnie, bo kto inny tę pracę załatwił na budowie, nie założył kasku na głowę. I w tym czasie, jak przechodził koło budynku, urwało się tam jakieś wiadro, rąbnęło go w głowę i natychmiast go zwolniono, żeby firma nie miała problemów z BHP. No, to wtedy znowu używałem tych kolegów ze szkoły, lekarzy, żeby dali mu darmowe leki,

żeby załatwili mu jakąś rentę, żeby dalej miał tą jakąś opiekę. To cały czas najlepszy dowód, że teraz też mnie poniosło, jak pani ambasador Izraela zaczęła nas piętnować, że też do niej napisałem. No, po prostu taką mam duszę, że działam i nic w zamian.

Mam do pana pytanie odnośnie związku zawodowego. <dźwięk telefonu> Proszę się nie przejmować. I tak dobrze, że to tak późno telefon zadzwonił, bo zasadnicze nagranie mamy czyste. Nie pamiętam w tej chwili nazwiska tego milicjanta, ale jest takie znane zdjęcie, kiedy do sądu warszawskiego w sprawie rejestracji Związku Zawodowego Pracowników MO i SB wchodzi milicjant w mundurze. Asystuje mu dwóch górników w górniczych czapkach. Uciekło mi w tej chwili nazwisko tego milicjanta. W takich grubych okularach korekcyjnych, czy kojarzy pan tego człowieka? Bo on był wtedy w sprawach rejestracyjnych w sądzie.

Nie przypominam sobie nikogo z tego najbliższego otoczenia, żeby nosił takie grube okulary.

Ja panu, jak będzie okazja, to pokażę zdjęcie.

Ale jest jeszcze jedna rzecz, że w tym Komitecie Założycielskim był sierżant Jabłoński Jan. I on już po 1989 roku, znowu mnie zaczęli namawiać, żebym działał nadal w Związku, ja już się nie godziłem, on natomiast został wiceprzewodniczącym, tak jakby na moje miejsce. I Janek przyszedł kiedyś do mnie i mówi: „Mirek, materiały kompromitujące, które są u ciebie, chciałem zabrać”. No oczywiście, wie pan, w celu zabezpieczenia, materiały kompromitujące gromadzili koledzy. Były to i odnośnie Kiszczaka, i Jaruzelskiego, generałów niektórych. Janek ode mnie wziął część. Ja mówię: „Jasiu, jeszcze za wcześnie, nie myśl na ten temat, wszystko będzie dobrze”. Jak zabrał te dokumenty, jechał służbowym samochodem związków zawodowych policyjnych, a nie milicyjnych i był w okolicy Otwocka. Jego samochód został staranowany przez samochód ciężarowy. Z mojej wiedzy, do chwili obecnej sprawcy nie udało się ustalić, ale takie fakty mnie nie dziwią, bo ja chodziłem w mundurze cały czas. Mało, to dystynkcje sierżanta sztabowego miałem. Idąc kiedyś z drugim milicjantem dzielnicowym, zostaliśmy zaczepieni przez kobietę. „Panowie, przepraszam, pięć minut mi poświęćcie?”. „Poświęćmy”. Przystanęliśmy, a ona mówi tak: „Panowie, ja dopiero co wróciłam z zagranicy i chciałam wam coś powiedzieć. Za tydzień sprawdzajcie «Biuletyn Informacyjny» i w biuletynie będzie, że samochód mnie potrącił, a sprawca zbiegł z miejsca wypadku. No i tu macie moje dane”. No to podziękowaliśmy oczywiście, sobie te jej dane tam zapisaliśmy i z ciekawości żeśmy śledzili cały tydzień. Oczywiście po tygodniu się sprawdziło, ale zaraz jak ona od nas odeszła, to kolega roześmiał się do mnie i używając takiego sformułowania z którejś tam sztuki: *Mente captus*. Byliśmy przekonani, że starsza kobieta ma już jakieś urojenia. Okazało się, że nie. I tego typu doświadczenia mnie nauczyły, że różnie się działo i to się sprawdzało.

Piękne dzięki. Szereg bardzo ciekawych wątków, ten wątek strażacki jest doskonały.

No, cieszę się, że mogłem, wie pan...

Bardzo dziękujemy, że pan znalazł czas.



No wie pan, tak, jak pan widzi. Cały czas mało, nawet chodziłem do Szkoły Podstawowej na Kordeckiego i oczywiście jak z tego wysiedlenia wróciliśmy, to zacząłem chodzić tu. Tu dzieci chodziły, które zamieszkiwały całe powstanie i cały czas zamieszkiwały, znały się, a ja byłem tak jakby przyjeźdźcą, bo tu dostaliśmy mieszkanie. I była nauczycielka, która została prezesem czy opiekunką PCK i była naszą wychowawczynią. Wszystkich nas zaczęła uczyć na pracę w PCK - zbieranie puszkami i tam inne rzeczy. Kursy takie pomocy. I od tego momentu zaraziła mnie tym bakcylem działań społecznych. To się utrzymuje do chwili obecnej, że jak mogłem, to wszystkim pomagałem. Mało, ten dzielnicowy, to mnie celowo umieścili, że dostałem później z Saskiej Kępy, zanim mnie przenieśli do izby, to mnie dali celowo już ulicę, na której mieszkałem sąsiednio, żebym był dzielnicowym. I znowu, do tej pory, może pan wierzyć lub nie, idę ulicą w różnych miastach i raptem zatrzymuje się elegancki samochód: „Dzień dobry, panie Mirosławie, pan mnie pamięta?”. A to jest już bez mała sześćdziesiątka. No ja mówię: „Miło mi, ale nie pamiętam”. „A, ja byłem w izbie dziecka wtedy i wtedy”. Albo tam znowu coś takiego. Mało. Na przykład „Masa”, ten znany, to Jarek bywał w izbie dziecka. I ja pamiętam jego głowę taką, wie pan, powiększoną wtedy, a w tej chwili to on ma metr osiemdziesiąt parę i jest bysior. I znowu tego Jarka znałem, i tak samo innych. Ale wie pan, mało. Jeszcze ciekawostka. To znaczy, dwie ciekawostki, bo mój kolega ze szkoły podstawowej został w jakiejś szkole zawodowej nauczycielem. Zawodu czy takim, no nie wiem. Trafia do Izby Dziecka chłopak i zaczynam z nim przeprowadzać wywiad. I go pytam. I pytam się, ile ma ocen niedostatecznych. „A, dwadzieścia”. Ja mówię: „Słucham? Jak to możliwe? A ile jest przedmiotów?”. No, to mi tam wymienia dziewięć. „To jak jest możliwe, że mając dziewięć przedmiotów, żebyś miał dwadzieścia ocen niedostatecznych?”. On mi wtedy mówi tak: „Bo wie pan, mamy takiego pana, że jak ma lekcje, to pierwsza rzecz, sprawdza, co umiemy. No to jedna dwójka. Teraz tam się ktoś ruszy, druga dwójka. I w ciągu jednej lekcji potrafi pięć ocen niedostatecznych, bo wtedy taka była najniższa ocena, postawić”. Mnie to wkurzyło. Wziąłem, to wpisałem, a znowu koleżanka psycholog była kierownikiem Wydziału Oświaty na dzielnicy, gdzie to się działo. Wziąłem, do niej pismo napisałem. No i dobrze. Po jakimś czasie spotykam tego właśnie kolegę, o którym on mówił na ulicy, bo on dalej koło mnie mieszka. A on tak: „Jak ty tak mogłeś zrobić?”. Ja mówię: „Co?”. „No, takich mi przykrości narobiłeś”. „Jakich przykrości, człowieku? Przecież my się nie widzieliśmy piętnaście lat albo lepiej”. „No, napisałeś o mnie, że stawiam tyle ocen”. A mnie się to wtedy przypomniało. Ja mówię: „Słucham? I ty uważasz, że jesteś OK? Że jeśli tak stawiasz tym dzieciakom te oceny, to oni się czegoś nauczą, oni tam szkołę skończą, będą mieli przekonania, że warto się uczyć i tak dalej?”. To jest taka sprawa. Druga rzecz, jeszcze jak byłem dzielnicowym, w jednym z mieszkań sąsiedzi zauważyli, że stara kobieta nie daje znaku o sobie. Zadzwońmy do straży ogniowej, wymienię swoje nazwisko i od razu mi dali strażaków z samochodem, przyjechali. Chłopaki drabinę podstawią pod okno, bo to było na pierwszym piętrze i mówią: „Ona leży koło łóżka i widać przez okno, że pełno kału, pełno siku” i tak dalej. Nie leży na łóżku. „Co mamy robić, wyważamy drzwi czy przez okno?”. To ja mówię: „Łatwiej okno naprawić, wchodźcie”. No i właśnie otworzyli drzwi. No i teraz, zadzwoniłem znowu do kolegi na Grenadierów do szpitala i mówię: „Andrzejku, mam taką chorą, chcę żeby do ciebie karetka zawiozła”. „To niech przywiezie, przyjmujemy”. No i karetka już nie do innego szpitala, tylko od razu do Grenadierów. No i po jakimś czasie, jak ona tam poleżała, już ją doprowadzili do stanu bezpieczeństwa, dzwoni do mnie kolega i mówi: „Mirek, ja jej dłużej w szpitalu nie mogę trzymać, ona już jest zdrowa. Ona się nie nadaje, żeby mieszkać sama, a my jej trzymać nie możemy”. To wobec tego użyłem znowu tych swoich znajomości i udałem się na Hetmańską do tej matki, przełożonej zakonu i mówię: „Mateczko, mam taką sprawę”. A ona mówi tak: „Panie Mirosławie, ja ją przyjmę, bo pan prosi, to znaczy, ja dam panu, że ją przyjmę na piśmie, ale nikt jej do nas nie da, bo u nas jest za dobrze. Będą chcieli kogo innego dać, a ja

będą chcieli gdzie indziej wysłać". Oczywiście zaraz zgłosiłem, żeby ją przewieźli na Hetmańską do tego domu starców. Po chwili mam telefon do domu i sekretarka przedstawia się jako sekretarka ministra takiego i takiego: „Pan minister chce z panem rozmawiać”. „Słucham”. „Panie sierżancie, chodzili o to, że ma pan skierowanie dla pacjentki do domu starców na Hetmańską”. Ja mówię: „Tak”. „Czy to pana krewna?”. A ja mówię: „A czy to ważne?”. „No tak, bo chodzi o to, że my byśmy ją zawieźli do Góry Kalwarii, a tam by poszła moja matka”. No i wie pan, tak jeszcze, ja nie wiem, ktoś u mnie był i taka głośna była ta rozmowa. Od razu do mnie: „Zgódź się, zgódź się”. No to się zgodziłem, bo kobieta opiekę dalej miała. Że gorszą, to gorszą, ale miała. Takich zdarzeń to sporo. Ale mnie to w tej chwili na przykład wytykają, wie pan, że ja byłem w tym mundurze milicyjnym. Chociaż ja sobie do zarzucenia nigdy nic nie miałem. Do tej pory mi się kłaniają. Mało, miałem taki zwyczaj, że jeżeli się dowiedziałem o kimś, że dokonał jakiegoś przestępstwa, w tych młodych, to spotykałam go przy chłopakach, kiedy był w największym gronie, poklepałem go po ramieniu i mówię: „Zbysiu, będziemy mieli ze sobą do czynienia. To i to zrobisz”. I odchodzę. Proszę pana, i wtedy się zaczynała dyskusja między nimi, skąd on o tym wszystkim wie. Oczywiście ustaliłem wcześniej, że on to robił. No i później oczywiście taką sprawę wykrytą, no bo musiałem jako dzielnicowy ze swojego terenu włamania do piwnicy tak samo prowadzić, przekazywałem do dochodzeniówki i ten chłopak spotyka mnie teraz, już jako dorosły człowiek i znowu mówi: „Mam do pana wielki szacunek, bo zawsze był pan człowiekiem, zawsze pan postępował tak, jak należy”. Zakładałem boiska sportowe dla dzieci, zakładałem... razem budowaliśmy basen. Mam na swoim koncie sporo rzeczy. Ja się nie wstydzę. Po prostu, cały czas byłem społecznikiem, jestem społecznikiem. Z żoną się utrzymujemy... A, żeby było jeszcze ciekawiej, moja żona jest po amputacji dwóch piersi, dwie operacje miała, rak złośliwy. Ja przeważnie dwie operacje w ciągu roku. W tej chwili usuwając zaćmę, zarazili mnie jaskrą. Wie pan, i znowu coś tam się dzieje. Muszę łykać coś, żeby po prostu nie bolało, bo na nerkach mam znowu takie torbiele. Jak mnie lekarz przekonał, że warto ściągnąć, to z jednego litra płynu ściągnął. Ale co, poddawać się nie mogę.

Jasne, trzeba walczyć o to, żeby w jak najlepszej formie żyć. Chciałem się w jednej kwestii upewnić. W którym roku do milicji pan wstąpił, pamięta pan rok przynajmniej?

Tak, tak, jak wiem. Chyba 1976.

W 1976?

Tak.

Bo tam wcześniej pan mówił o latach pięćdziesiątych, ale to raczej przejęzyczenie. OK.

To znaczy, nie 1976. To będzie 1966.

Dobra. W roku milenium.

A tak, no to wie pan. Przy okazji coś zapytam. Mając wiedzę taką, że sędzia, dwoje sędziów współpracowało z bezpieką, a założymy, trochę mnie dokuczyl, czy jest szansa, żebym uzyskał wiadomość od was potwierdzającą,

że z bezpieczeństwem współpracowali?

Wie pan co, jeżeli są dokumenty, dokumenty się zachowały, no to jest do sprawdzenia.

A gdzie składać pisemko?

Ja się dopytam, jaka tu jest procedura. Dziękuję panu serdecznie.

To najlepiej wyciągnąć z kontaktów, jak pan nie wie jak.

Damy radę.

<w tle: rozmowa o sprawach proceduralnych>

Widzi pan, jeszcze jedna rzecz. Tego nie powiedziałem. Ja nie wiem, czy pan jak z ludźmi rozmawia, czy pan wie, że w czasie okupacji niemieckiej każdy mieszkaniec Warszawy miał obowiązek dostarczenia złomu i teraz wszyscy członkowie AK mieli takie polecenie, żeby strażacy, żeby część tego sprawnego sprzętu strażackiego przekazywać do składu złomu jako złom, po to, żeby od Niemców znowu zdobywać kolejne dostawy tego sprzętu, bardziej nowego. I to było stosowane.

<ZAKOŃCZENIE NAGRANIA - 01:13:59>